

księdz ~~księdz~~ Kustaw. Jakubiec ur. 14-VII 1902. u 4-¹⁸
s. Waetawa; Teul. z Królikowskich, z Nowodu 20
został profesorem teologii katolickiej U.W.
ul. 66-¹⁸, przy ul. Krakowskie Przedmieście nr. 52/54
stony od 14-¹⁸ 1948. usługuje sprowadzanie
w okręgowej Komisji Badania Brodni Niemców w Warszawie
Autorem książki
edycja Jusew

Wybuch powstania warszawskiego zastał mnie w Seminarium Duchownym przy ul. Krakowskie-Przedmieście ^{52/54} (Dod. 7 sierpnia 1944) na naszym terenie panował spokój, dochodziły tylko odgłosy dalszych walk. Gdy kilkakrotnie udawałem się z pociechą religijną na ulicę Dobrą, musiałem przebiegać chyłkiem przez ulicę Furmańską, gdyż na balkonie domu przy ulicy Sowiej jakiś niemiec ^(okryty) dawał strzały do każdego, kto się na ulicy pokazał. Niemiec ten najprawdopodobniej nie był ubrany po wojskowemu. Gmachu Prezydium Rady Ministrów /ówczesny t.zw. Deutsches Haus/ był obojętny przez Niemców. W znajdującym się na tyłach tego gmachu ogrodzie jakaś młoda Niemka przez kilka dni z rzędu całymi godzinami siedziała na drzewie, obserwując przeciwną oficynę Seminarium i strzelając, gdy tylko zauważyła, że ktoś jest w jednym z pokoi tej oficyny. Doniesiono mi o następującej rozmowie, jaka miała miejsce pomiędzy wspomnianą Niemką, a jednym z żołnierzy: "Olga, zejź już z drzewa!" "Zaraz, tylko jednego Polaka zastrzelę!" Pewnego dnia, bardzo rano, wpadła do nas grupa Niemców /Wehrmacht?/ i, wzięwszy znajdujących się w Seminarium czterech księży i trzech kleryków za przebranych powstańców, zagroziła nam rozstrzelaniem i przystąpiła do poszukiwania broni. Incydent skończył się szczęśliwie, gdyż broni nie znaleziono; Niemcy ci jednak utrzymywali, że ktoś do nich z naszego gmachu strzelał. Wogóle przez cały czas naszego pobytu w Seminarium Niemcy mieli jakąś ideę fixe na tym punkcie; pewnego dnia już gdzieś w drugiej połowie sierpnia wpadł jakiś Niemiec, posądzając, że strzelamy, groził nam przy tym, iż nas pozabija. Bardzo rano 7 sierpnia doniesiono mi, że Niemcy zajmują Powiśle od strony mostu Kierbedzia, że wysiedlają stamtąd ludność, mężczyźni zaś w wielu wypadkach rozstrzelują. Jakoż wkrótce potem duże grupy ludności z ulic: Furmańskiej, Bebnarskiej, Karowej, Sowiej i Mariensztat zaczęły napływać do Seminarium, szukając schronienia. Odtąd przez szereg dni nieustannie napływała ludność zarówno z Powiśla, jak i z innych ulic, tak że ogółem przeszło przez Seminarium ponad 10.000 osób /od niemowląt aż do starców/. Ludność ta w wielu wypadkach była wypędzana z domów w brutalny sposób. Widziałem pewnego starca, któremu nie pozwolono nawet włożyć obuwia. Opróżnione w ten sposób domy Niemcy ^{głównie podpalili}. Wśród przybyłych spotkałem profesora Uniwersytetu Warszawskiego Cybi-

chowskiego, który, jak mi opowiadał, cudem tylko uniknął śmierci, gdyż w domu profesorskim przy Nowym Zjeździe ^{nr. 3/5 (7)} Niemcy rozstrzelali większość znajdujących się tam profesorów. Wkrótce po spędzeniu pierwszych transportów ludności Niemcy postanowili zgromadzoną w Seminarium ludność "przeprowadzić", jak mówili, "w bezpieczniejsze miejsce". Dopiero jeden z pijanych Niemców przyznał się, że ludność ta jest kierowana do obozu, przy czym młodszych mężczyzn "likwiduje się". ^{zanim się uda do redukcji w i do of. pow. w Pranie} Transporty szły przeważnie pieszo, rzadziej samochodami. Oczywiście ludność niechętnie opuszczała Seminarium, nie chcąc iść na niepewny los; Niemcy jednak wyszukiwali kryjących się po kątach. ^{W 2-ym parterze w tym czasie (dobyli drzwi na parterze)} Przy takim jednym transporcie SS-mani spędzili większość osób i obrabowali ich z kosztowności, zabierając zegarki, obrączki, pierścionki i pieniądze pod groźbą rozstrzelania. Najpierwszy transport, jaki odszedł pieszo, składał się z chłopców z Sierocińca w Strudze pod Warszawą. Chłopcy ci zostali przyprowadzeni przez opiekujących się nimi księży Michalitów. Księża otrzymali od Niemców zapewnienie, że będą mogli wyprowadzić dzieci z Warszawy. Transport ten przeprowadzono do Saskiego Ogrodu i tu zaczęto oddzielać chłopców starszych. Nie wiem, w jakich okolicznościach dano przy tym salwę, raniąc dwóch opiekujących się chłopcami księży; być może, że i chłopcy odnieśli rany. Bliższych informacji co do tego incydentu może udzielić ks. Zawada, mieszkający obecnie w Krakowie /Drukarnia ks.ks. Michalitów/, który był przy tym obecny. Chłopców było ponad stu. Co kilka dni Niemcy wyprowadzali większe grupy ludności, na miejsce zaś wyprowadzanych napływała nowa ludność, wypędzana z domów w miarę, jak Niemcy zajmowali nowe tereny. Między innymi ewakuowano do Seminarium szpital położniczy św. Anny z ul. Karowej. Niemowlęta zostały umieszczone w salach Seminarium; o ekscesach w związku z tą ewakuacją nie słyszałem.

Pozostając w Seminarium ludność przeżywała oprócz "transportów" wiele ciężkich chwil. Niemal bowiem o tym samym czasie wpadały na teren Seminarium poszczególne grupy Niemców /formacji nie pamiętam; jednakże był to nie tylko Wehrmacht, ale i SS/ w rozmaitych celach. Zwykle wczesnym rankiem odbywały się poszukiwania "bandytów"/t.zn. powstańców/ i broni. W czasie tych poszukiwań Niemcy nie oszczędzali i kościoła. Pamiętam, gdy raz kończyłem Mszę św., zbliżył się do mnie miejscowy organista i blady z przerażenia powiedział mi, że Niemcy są w kościele i szukają mężczyzn. Jakoż zobaczyłem kilkunastu żołnierzy niemieckich w hełmach na głowie i z bronią, przygotowaną do strzału. Rozeszli się po całym kościele, przyglądając się badawczo modlącym się tam ludziom. Czy wtedy kogoś zabrano z kościoła, nie pamiętam. Drugim utrapieniem było niemal codzienne wybieranie mężczyzn "na roboty". Odbywało się to zwykle w godzinach przedpołudniowych. Zabierano nie tylko młodszych, ale nawet starszych. Jak słyszałem brano ich do rozbierania /pod kulami/ barykad i do zakładania przewodów telefonicznych. Wielu z zabranych

nie wrócić; możliwe, że sami Niemcy ich pozabijali, albo że zginęli, pracując pod ostrzałem. Ale było jeszcze jedno utrapienie. W sąsiedztwie Seminarium znajdowały się składy win firmy Rago, przejętej, o ile się nie mylę, przez jakieś przedsiębiorstwo niemieckie w czasie okupacji. Jak się okazało, w składach tych było nie tylko wino, ale i wódka. Niemcy dostali się do tych składów i odtąd przez dłuższy czas upijali się codziennie. Zwykle nad wieczorem, a nawet po południu, wpadali pijani żołnierze na teren Seminarium i porywali dziewczęta oraz młodsze kobiety. O ile mi wiadomo, prowadzono je do pobliskich domów, a nawet do pałacu Brühla, gdzie byli nie tylko prości żołnierze, ale i oficerowie. O gwałtach na terenie Seminarium nie słyszałem. Łatwo zrozumieć, że takie zjawy zjawianie się pijanych Niemców wywoływało panikę, zwłaszcza wśród kobiet. Ja sam o mało nie zostałem zastrzelony przez pijanego żołnierza dlatego, że uśmiechnąłem się ironicznie, widząc jak drugi żołnierz pijany zwał się z ławki na ziemię; ze słowami: "To tyś mu dał wódki" Niemiec tamten sięgnął po rewolwer. Jedynie dzięki temu, że był on pijany i poruszał się niezgrabnie, zdołałem uciec i schować się. Inny znów Niemiec pijany chodził po salach, gdzie leżeli starcy i ranni, sprawdzając dokumenty. Zbliżywszy się do jakiejś starszej kobiety, leżącej na łóżku, wyciągnął rewolwer, by ją zastrzelić. Na szczęście znajdował się na tej sali ks. Dembiński, który zdołał owemu Niemcowi zamiar ten wyperswadować. Pewnego dnia żołnierze niemieccy urządzili sobie dziką zabawę; mianowicie, widząc, że korytarze seminaryjne są zapełnione ludźmi /bo w pięćdziesięciu pokojach i w kilku salach, zajętych na szpitaliki, nie mogło się zmieścić parę tysięcy ludzi/, zaczęli przez okna strzelać z podwórza. Zostało wtedy kilka osób rannych, wśród nich pewna kobieta, matka dwojga małych dzieci, która po przeniesieniu do szpitala św. Rocha zmarła od odniesionych ran. Dnia 14 sierpnia Niemcy podpalili bezpośrednio sąsiadujący z Seminarium dom, t.zw. "Dziekankę". Zorientowawszy się, że ogień poprzez Seminarium może się przenieść i na "Deutsches Haus"/Prezydium Rady Ministrów/, nakazali nam gasić ten pożar. Mimo, że akcja była z powodu braku wody bardzo utrudniona /filtry wówczas już nie działały/, ogień po kilku godzinach ugaszono. W akcji tej brali udział wszyscy, nie wyłączając i kobiet.

Wobec bezbronnego położenia znajdującej się w Seminarium ludności, wystawionej na wybryki żołnierzy niemieckich, którzy bardzo często wpadali na teren Seminarium ze wszystkich stron /również i od strony ogrodu, znajdującego się na tyłach; żołnierze wchodzili przez okna/, plądrując i terroryzując ludność, postanowiono zwrócić się do Niemców, stacjonujących w Prezydium Rady Ministrów ze skargą. O ile mi wiadomo, urzędujący tam płk./?/ Schmidt przyjął to nieprzychylnie, a nawet po grubijańsku. Dopiero inny oficer niemiecki Stachel przysłał do Seminarium dwóch żołnierzy niemieckich i odtąd przy wejściu do Seminarium była warta niemiecka. Kto

pertraktował ze Stachelem, nie wiem; najprawdopodobniej znajdująca się na terenie Seminarium p. Krystyna Wilkowska, a przede wszystkim nieżyjący już prof. Cybichowski. Wartownicy niemieccy różnie się spisywali. Dwukrotnie /a/ może i więcej razy /rzeczywiście interwenjowali, gdy od strony ogrodu wdarli się przez okna do Seminarium żołnierze niemieccy. Jednakże i wartownicy brali udział w pijatykach. Szczególnie źle się zapisał jeden z wartowników, niski szatyn, który był bardzo bezwzględny /zwłaszcza po pijanemu/. Raz chciał mnie zastrzelić rzekomo za nie pilnowanie porządku w Seminarium; w ostatniej chwili zdołałem uciec z pokoju. Ten sam wartownik chciał zastrzelić jednego z pracowników Seminarium Józefa Woźniaka; przyczyny nie pamiętam, w każdym razie chodziło o błańhostkę. Szczególnie podejrzliwie odnosili się Niemcy do nas księży. Ciągłe sprawdzano nam dokumenty i grożono wywiezieniem. Kiedyś jeden z Niemców wyzywał nas obelżywie, mówiąc: "To wy księża wychowaliście młodzież na bandytów; to niesłychane, żeby młodzież ośmieliła się po bandycku strzelać do żołnierzy niemieckich!"

Od chwili upadku Starego Miasta widzieliśmy pędzoną przez Niemców ludność tej dzielnicy. Wynosiliśmy im wodę do picia, gdyż szli bardzo wynędzniali, a nawet udało się szereg osób wciągnąć do Seminarium. Niemcy eskortujący prowadzonych, odpędzali nas kolbami. Mimo to dowiedzieliśmy się, że na Starym Mieście pozostało jeszcze dużo rannych, chorych, starców i kalek, którzy leżą na ulicy bez opieki, a nawet że są dobijani przez Niemców. Postanowiono więc zaopiekować się tymi nieszczęśliwymi. Udano się więc do wspomnianego już Stachela /kto poszedł, nie wiem; informacji w tym względzie mogłaby prawdopodobnie udzielić p. Krystyna Wilkowska, która obecnie mieszka w Warszawie przy ul. Białostockiej 20 m. 33/ i ten pozwolił iść na Stare Miasto; o ile sobie przypominam /nie jestem pewny/, pozwolenie to było połączone z zastrzeżeniem, że nie wolno zabierać stamtąd "bandytów", lecz tylko ludność cywilną. W ciągu dłuższego czasu /do dwóch tygodni?/ chodziliśmy codziennie z noszami i z chorągwią czerwonego krzyża na Stare Miasto, ulicami: Podwale, Kiłińskiego, Długą. Na Długiej przed gmachem Ministerstwa Sprawiedliwości był punkt zborny; stąd rozchodziliśmy się na przyległe ulice /Freta, Mostowa, Stara/. Mimo, że na czele niesiono, jak już wspomniano, chorągiew czerwonego krzyża, spotykały nas szykany ze strony spotykanych Niemców. I tak na ulicy Podwale, gdy przechodziliśmy z rannymi koło cerkwi prawosławnej, wybiegł jeden ze znajdujących się tam Niemców i usiłował wciągnąć do bramy jedną z idących z nami dziewcząt, choć miała ona na rękawie opaskę z czerwonym krzyżem; dzielna ta dziewczyna zdołała się jednak wyrwać owemu Niemcowi. Na placu znów Zamkowym, gdy obok zwalonej już kolumny Zygmunta zatrzymaliśmy się na odpoczynek, zbliżyła się do nas grupa Niemców, którzy z rewolwerami w ręku nachylali się nad noszami, szukając "bandytów"; aby ich zastrzelić. Ogółem przetransportowano do Seminarium większą ilość osób /ile, trudno mi powiedzieć/, w tym szereg osób narodowości żydowskiej /zwłaszcza z ulicy Starej/, i umieszczono tych nieszczęśliwych

w zaимпровизowanym szpitalu. Wiele z tych osób zmarło w Seminarium, reszta została już później ofiarnie przeniesiona do szpitala na Płocką /szpital Wolski/, a następnie ewakuowana do Podkowy Leśnej wraz z całym tym szpitalem. Wspomniany gmach przy ulicy Długiej, w którym w czasie powstania znajdował się szpital, przedstawiał straszny widok. W bramie widziałem mnóstwo leżących jeden na drugim zwęglonych na pół trupów. Byli to leżący w tym szpitalu ranni Polacy, których ^{już mi opowiadano} Niemcy zwyciężąc spalili. Większość leżących w bramie trupów tłumaczono mi w ten sposób, że nieszczęśliwi ci po podpaleniu szpitala próbowali czołgać się na ulicę i w tym celu kierowali się ku bramie, która jednak była przez Niemców umyślnie zatarasowana. Podobnie i w piwnicach znajdowano napół zwęglonych trupów, a nawet, o ile dobrze pamiętam, jeszcze i żyjących rannych. Do piwnic nie schodziłem. Gdy przyszliśmy po raz drugi na Długą, zobaczyłem siedzącego przed bramą szpitala ks. Pągowskiego wraz z kilku innymi osobami: Ocalili się oni jedynie dzięki temu /ks. Pągowski był ranny w nogę/, że schody, prowadzące do tej części zabudowań, w której się znajdowali zbyt wcześnie się zapaliły tak, że Niemcy nie mogli do nich dotrzeć, by ich pozabijać, przy czym po spaleniu się schodów ogień dalej się nie przedniósł. Ks. Pągowski słyszał zaraz pierwszego dnia, gdy poszła nasza ekipa nawoływania, że przyszedł czerwony krzyż, że jeśli ktoś jeszcze jest w ruinach szpitala, niech wyjdzie; jednakże obawiając się, iż jest to podstęp ze strony Niemców, nie odezwał się i dopiero na drugi dzień, kiedy usłyszał powtórnie wezwanie, wyszedł. Na ulicy Starej, na tyłach Domu Dobroczynności, ^{już mi 4-ty raz opowiadał} widziałem leżących na materacach, na deskach lub na bruku rannych /większość kobiet/, wśród nich i Żydów; w ranach niezaopatrzonych były robaki, ranni zaś byli przeziębieni, leżąc dzień i noc pod gołym niebem. Zabieraliśmy tych nieszczęśliwych etapami, gdyż rozporządzaliśmy niewielką ilością noszy. ^{do 11-u zabralismy tylko 3-4 nosze, reszta została przez Niemców, ile mi więcej rannych były kobiety, które im opiewały i śpiewały im rum.} Skąd tam ranni ci się znaleźli, nie wiem. Transportując rannych, przechodziłem przez podwórze tuż koło kościoła św. Jacka, zauważyłem koło figury Matki Boskiej kilku zabitych mężczyzn; czy byli popalani, nie pamiętam. Do zabudowań przy wspomnianym kościele nie wchodziłem; kościół wówczas się dopalał. Wreszcie Niemcy zabronili nam dalszych transportów ze Starego Miasta. ^{Było to około 19-tych września (doby dowiaduje się później)}

Już pod koniec naszego pobytu w Seminarium chowałem trzy zaduszone przez Niemców w piwnicy przylegającego do zabudowań seminaryjskich domu ~~dwie~~ młode kobiety, ubrane dostatnio. Były to ofiary rozbastwionych Niemców, którzy przez kilka dni przebywali w tym domu na kwaterze. ^{zobacz mój list z 20-tych września i 21-tych 91}

Dnia 26 września zjawiono się Gestapo. Zdziwili się, że w Seminarium, leżącym, ich zdaniem, na linii frontu, jest jeszcze ludność cywilna. Nakazali więc w kilka godzin opróżnić gmach. Gdy przyszli powtórnie, zastali niemal ten sam stan liczebny, gdyż ludność ociągała się z wyjściem, nie chcąc iść na niepewny los. Kazali mi wtedy przemówić do ludności, by opuściła Seminarium, grożąc, że gdy przyjdą powtórnie, wszystkich nas

rozstrzelają. Przemówiłem, ale bez skutku. Nazajutrz, dla przykładu wyszedłem z niewielką grupą chętnych, obawiając się rozlewu krwi. Doszedliśmy do szpitala Wolskiego. Na drugi dzień, niepokojąc się o losy Seminarium, przekradłem się na Krakowskie-Przedmieście. Już jednak po drodze spotykałem mych znajomych, jadących na wozach w stronę Woli. Gdy dotarłem do Seminarium, zastałem je już opustoszałe. Wycofałem się więc śpiesznie, gdyż przebywanie w gmachu groziło śmiercią. Od osób, które z naszego Seminarium zostały zabrane do "Deutsches Haus"/Prezydium Rady Ministrów/, dowiedziałem się już poza Warszawą, że Niemcy wkrótce po opróżnieniu Seminarium splądrowali je. Między innymi dostali się do piwnicy, gdzie były ukryte kosztowności kościelne /monstrancje, kielichy/ i rzeczy te zrabowali. Chcąc zaś zatrzeć ślady tej grabieży, wzniecali umyślnie pożar. *Opisano o tym Józef Woronin prasowemu Seminarium Seminarium.*
Pożar ten jednak inna grupa Niemców, bojąc się o "swoje" Deutsches Haus, ugasiła. *rd. 28 maj 1944*
Z Warszawy wyszedłem wraz z rannymi ze szpitala Wolskiego i udaliśmy się do Podkowy Leśnej, dokąd ewakuowano szpital.

Pewna chaotyczność i fragmentaryczność moich zeznań tłumaczy się tym, że każdy dosłownie dzień, przeżyty w czasie powstania w Seminarium, obfitował w tyle emocjonujących wydarzeń, że dzisiaj wszystko zlało się w mojej pamięci /po trzech latach/ w jeden koszmarny obraz. Nawet nazwisko i twarz jest mi dziś trudno sobie przypomnieć. Pamiętnika nie prowadziłem, bojąc się, by go nie przejęli Niemcy. Ani ze Schmidtem, ani ze Stachellem, ani z innym dowódcą niemieckim w czasie mego pobytu w Seminarium nie stykałem się. O Schmicie słyszałem tylko, że był dla nas nie przychylny.